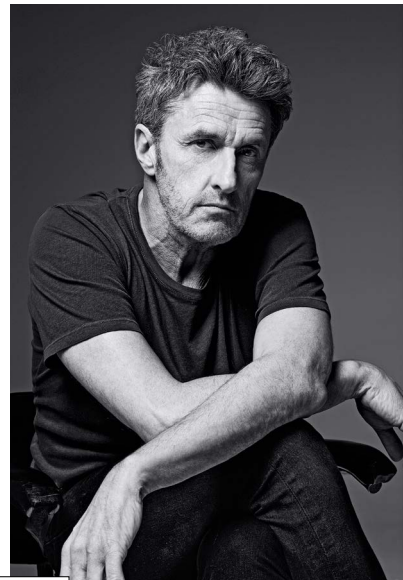




21 Tajemnica ministra



28 To idzie SOP



74 Rozmowa z reżyserem Pawłem Pawlikowskim

Tematy tygodnia

- 12 Joanna Cieśla
Bunt w szkole
- 15 Ewa Siedlecka
Polskie sądy przed wyrokiem

Polityka

- 18 Anna Dąbrowska
Ryszard Łuczyn
Skąd partie mają pieniądze
- 21 Wojciech Szacki
Co zamierza Joachim Brudziński

Spółeczeństwo

- 24 Ryszarda Socha
Kościół na gdańską modłę
- 28 Violetta Krasnowska
Secret Service w pisowskim wydaniu
- 31 Jak się dogadują pary mieszane narodowościowo – rozmowa z prof. **Agnieszka Stępkowską**

Rynek

- 34 Adam Grzeszak
Kryzys wizerunkowy – i co wtedy
- 38 Marcin Piątek
Piłka idzie na giełdę
- 40 Cezary Kowanda
Jak korzystać z karty za granicą i nie stracić

Świat

- 42 Jędrzej Winiecki
Niebezpieczny świat algorytmów
- 45 Paulina Wilk INDIE
Priyanka Gandhi – ostatnia szansa rodu
- 48 Wiktoria Bielaszyn ROSJA
Jak się tu bije
- 50 Rozmowa z **Danutą Hübner** o tym, dlaczego brexit to oszustwo

Historia

- 52 Sebastian Pawlina
Jan Nowak-Jeziorański: jak film nie dorównuje życiu
- 55 Katarzyna Mołoniewicz
Zabójca Lwa Trockiego

Nauka

- 58 Dlaczego Polska to raj dla nielegalnych poszukiwań i handlu zabytkami – rozmowa z dr hab. **Katarzyną Zalasieńską**
- 61 CO SIĘ CZYTA
- 62 Tomasz Witkowski
Ile jest warte profilowanie kryminalne

Ludzie i style

- 64 Rozmowa z **Michałem Worochem** o wyprawie z Ziemi Ognistej na Alaskę dwóch niepełnosprawnych przyjaciół

- 67 Aleksandra Żelazińska
TikTok: odmóżdżanie na ekranie

Kultura

- 74 **Paweł Pawlikowski** o przygodach w Hollywood i kolejnym filmie
- 78 Michał R. Wiśniewski
Tak feminizuje się kino dla dzieci
- 80 Justyna Sobolewska
Jonathan Littell i jego teoria o potworności ludzi
- 82 KAWIARNIA LITERACKA
Anna Dziewit-Meller
- 84 Rozmowa z **Romanem Kostrzewskim**, ojcem chrzestnym polskiego metalu

Na własne oczy

- 92 Piotr Sarzyński
Marina Abramović: artystka satanistka?

Stałe rubryki

- 5 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 37 Przegląd informacji rynkowych
- 70 Afisz • 87 Passent • 88 Stomma
- 90 Do i od redakcji • 91 Fusy
- 98 Polityka i obyczaj



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Seks na kolanach

Ofensywa seksualna, której przejawem jest podpisana przez prezydenta stolicy deklaracja na rzecz środowisk LGBT, budzi wiele obaw, zwłaszcza wśród mieszkańców mniejszych ośrodków. Oto list, jaki wysłała w tej sprawie do kierownictwa PiS grupa Polek i Polaków:

„My, mieszkańcy mniejszych ośrodków, protestujemy przeciwko wprowadzaniu tylnymi drzwiami seksu niezgodnego z naturą i polską konstytucją oraz sprzeciwiamy się podejmowanym przez opozycję próbom zainteresowania nas tą tematyką. Co rusz straszy się nas tolerancją i równymi prawami dla homoseksualistów gwałcących bliskie każdemu Polakowi wartości. Nie o takie prawa walczyli nasi dziadkowie w Powstaniu. Prezydent Trzaskowski w podległych mu urzędach zapowiada wprowadzenie zbiorowych szkoleń ze współżycia seksualnego, co wiadomo, czym się skończy, zwłaszcza jeśli na takich imprezach pojawi się alkohol, o co niestety nie jest dziś trudno.

Na lekcjach dzieci mają być poddawane seksualizacji, masturbacji i nauce zakładania prezerwatywy na jakieś dildo. Czy dzięki temu będą szczęśliwsze? Na razie są to problemy głównie dużych miast, ale nie tępimy się – przy takiej polityce opozycji to dojdzie i do nas. Nic dziwnego, że te działania niepokoją nas, którzy zamiast zaspokajać swoje apetyty seksualne, staramy skupić



się na popieraniu partii i rządu. Niestety, nie wiemy, czy z powodu naszych preferencji nie staniemy się ofiarami molestowania na tle politycznym. I czy przeszkoleni przez opozycję edukatorzy i inni latarnicy nie wykorzystają nas do współżycia, zanim zdążymy zadzwonić na policję albo na 112.

Uważamy, że to grzech i zło jeszcze gorsze od szczepień. Naszym zdaniem w ogóle powinno być ciszej nad tą trumną, jaką jest seksualizacja i będące jej efektem współżycie, gdyż na coś takiego mało kogo u nas stać. Z przykrością stwierdzamy, że są to rzeczy drogie, trudno osiągalne przy obecnych pensjach i emeryturach. Wierzmy jednak, że nowe propozycje rządu, takie jak piątka Kaczyńskiego, przyniosą w tej sprawie oczekiwane zmiany. Gorąco popieramy również propozycję premiera Morawieckiego, żeby w Polsce wkrótce zarabiano tak jak we Włoszech czy Francji. Według nas to wielka szansa, aby wspomniana seksualizacja, przewidziana obecnie tylko dla młodzieży w szkołach, była szeroko i w atrakcyjnej formie dostępna dla chętnych w każdym wieku, dzięki czemu wiele Polek i Polaków podlegających teraz seksualizacyjnemu wykluczeniu mogłoby wreszcie wstać z kolan”.

Afirmacja seksualizacji



Jerzy Baczyński

Ledwie obóz władzy ujawnił strategię na tegoroczne kampanie wyborcze, a już ją radykalnie zmienił. Ogłoszony przed dwoma tygodniami na warszawskiej konwencji PiS, wart 40 mld zł, pakiet socjalny bynajmniej nie „zaorał opozycji”; w ogóle nie przyniósł spodziewanych zysków sondażowych. Kolejne symulacje podziału mandatów do Parlamentu Europejskiego wskazują na stan bliski remisu. PiS nic nie wzrosło, co by znaczyło, że obiecane i już zaplanowane w tym roku do wypłaty 20 mld zł w sensie wyborczym „poszło się gonić”. Potwierdzałyby to tezę, że podział polityczny w Polsce staje się coraz mniej wrażliwy na działania o charakterze socjalnym: wyborcy PiS łatwo mogą uznać, że „te pieniądze im się po prostu należały”, zaś opozycjoniści i niezdecydowani „prezent Jarosława Kaczyńskiego” wezmą, a zagłosują (lub nie) po swojemu. Stało się jasne, że zwłaszcza wybory europejskie wymagają innych niż finansowe narzędzi mobilizacji własnego elektoratu, bo duża część wyborców PiS w ogóle nie zamierza w nich brać udziału. Jarosław Kaczyński, na pierwszej regionalnej konwencji PiS na Podkarpaciu, bez przekonania i bez emocji nawiązywał do pakietu „500 plus 13. emerytura”, ostrzegając jedynie, że „jeśli nasi przeciwnicy wygrają, zabiorą to, co myśmy dali”. Dla wyborców miał już nowe, dodatkowe bodźce.

Frustracja i niepewność często prowadzą, jak mówią psycholodzy, do stereotypii, uporczywego powtarzania schematów, które kiedyś zadziały. Coś takiego dokładnie obserwujemy w strategii kampanijnej obozu władzy. Odpowiednikiem dwóch politycznie najsilniejszych obietnic 2015 r. – czyli 500 plus i obniżenie wieku emerytalnego – jest teraz kolejne 500 i dodatek emerytalny. Jednak, jak pamiętamy, PiS sięgnął wtedy po jeszcze jedną broń: przez całą kampanię odbywało się solidne straszenie Polaków najazdem uchodźców – groźnych dla polskości, bezpieczeństwa obywateli i zdrowia publicznego (prawicowa prasa pisała o nadciągających, za zgodą koalicji PO-PSL, muzułmańskich hordach). Ale to było przed trzema laty, teraz nowych imigrantów prawie już w Europie, a jeszcze bardziej w Polsce, nie ma. Ten joker wypadł z talii. I tu trzeba pochwalić sztabowców PiS, że szybko wykorzystali nadarżającą się okazję, aby – przynajmniej do czasu eurowyborów – w roli imigrantów obsadzić „środowiska LGBT”, a w roli islamu „homopropagandę”. Temu w zasadzie była poświęcona ostatnia konwencja PiS. Pretekstem stała się podpisana przez prezydenta Warszawy tzw. karta LGBT, zawierająca pewne ogólne deklaracje dotyczące równego traktowania osób o różnych orientacjach seksualnych oraz zobowiązanie miasta do wspierania, zgodnie z zaleceniami Światowej Organizacji Zdrowia WHO, edukacji seksualnej oraz „lekcji tolerancji”. Poprzez manipulację tekstem, już o intencjach nie wspominając (do tematu, a także standardów WHO, wrócimy w następnym numerze), PiS zbudował narrację o rzekomym planie seksualizacji dzieci, lekcjach masturbacji, także dla najmłodszych i – drugie kluczowe słowo – afirmacji homoseksualizmu.

Manevr w sensie politycznym jest tak oczywisty, że aż trywialny; Ma skojarzenia z poprzednią kampanią antyimigrancką powszechne. Po prostu po raz kolejny prezes PiS postanowił wzbudzić wśród tradycyjnych i konserwatywnych wyborców stan paniki

moralnej („to horror, atak na polskie rodziny, na prawo rodziców do wychowania potomstwa” – wołał podczas konwencji) oraz wezwać ich do obrony, ramię w ramię z partią, najświętszych wartości: rodziny, dzieci i wiary. Obserwujemy zresztą od początku kampanii zamysł wprzęgnięcia w te wybory emocji religijnych, zamiany rywalizacji politycznej w wojnę kulturową. Nie ma wystąpienia prezesa czy premiera, gdzie nie pojawiałyby się deklaracje, że „my reprezentujemy cywilizację chrześcijańską”, a katolików w Polsce i w laickiej Europie „się terroryzuje”.

Dzisiejsza Unia Europejska oraz broniąca jej Koalicja są traktowane jako rozsądni demoralizacji. Premier Morawiecki sformułował to dość precyzyjnie: nasi konkurenci rozumieją europejskość jako rewolucję obyczajową. Zatem – idąc za tą logiką – nie chodzi im o jakiś wolny rynek, swobodny przepływ osób, kapitału, o wspólne wartości, chodzi w gruncie rzeczy o promocję homoseksualizmu, eutanazji, aborcji, ateizmu, „podważanie naturalnej tożsamości płciowej chłopców i dziewczynek” (to już Jarosław Kaczyński). „Seksualizacja dzieci w ramach promocji i afirmacji LGBT” oznacza też – powtarzają na głosy politycy PiS – tworzenie atmosfery sprzyjającej pedofilii. W ten sposób, niejako przy okazji, sprawa pedofilii zostaje przerzucona na stronę „liberałów”, dokładnie jak u pewnego polskiego biskupa, który oskarżał rozbudzone erotycznie dzieci o emocjonalne prowokowanie księży. PiS, przyprawiając Koalicję Europejskiej gębę propagatorów dewiacji, rzuca więc jednocześnie moralne koło ratunkowe bardzo dziś zakłopotanemu seksualnymi aferami Kościołowi – oczekując zapewne politycznego rewanżu. A jako bonus może grillować PSL, obsadzając ludowców w roli stronników LGBT i do tego też wymiaru redukować Wiosnę Biedronia.

Prezzydent Francji Emmanuel Macron zaproponował Europejczykom poważną debatę (s. 10) o kilku fundamentalnych dla naszej przyszłości kwestiach: wspólnej obronie, zewnętrznej straży granicznej, przeciwdziałaniu nielegalnej imigracji, powołaniu biura ochrony demokracji i wolności wyborów, wspólnych budżetach. PiS chce sprowadzić wybory europejskie do prostej dychotomii: jesteś za Europą i Polską chrześcijańską, prorodzinną czy lewacką i zboczoną? Za homoseksualizmem czy przeciw? Potwornie to prostackie, kłamliwe, bezsensowne, ale znów budzi u wielu komentatorów podziw dla sprytu prezesa i jego znanstwa duszy polskiego ludu. Zaorał opozycję? Twarda, po raz pierwszy chyba tak twarda, odpowiedź Rafała Trzaskowskiego na „tępe szczucie, cyniczne oszczerstwa, jad i manipulacje” ze strony prezesa PiS raczej nie oznacza, że opozycja – jak zwykle – będzie się tłumaczyć przed PiS. Ale też czas najwyższy, żeby Koalicja Europejska zaproponowała własną agendę tej kampanii. Inaczej cała debata unijna w Polsce 2019 r. zostanie przez PiS zseksualizowana, a spierać się będziemy o masturbację.

Jan Koza



Kupa wstydu

I dzie wiosna, a wraz z nią na osiedlowych trawnikach, skwerach i w parkach w oczy zaczynają się rzucać niesprząnięte psie odchody. Mimo kampanii społecznych i gróźb kilkusetzłotowego mandatu wciąż niewiele osób przejmuje się obowiązkiem sprzątnięcia po swoich pupilach. W blisko dwumilionowej Warszawie mieszka co najmniej 120 tys. psów (to tylko liczba zwierząt zaszczepionych; brak dokładnych szacunków). Pies załatwia się średnio dwa razy dziennie, co daje blisko ćwierć miliona kup dziennie i ponad 7 mln w skali miesiąca. Jednak w związku z nieuprzątnięciem nieczystości stołeczni strażnicy miejscy wystawili w ubiegłym roku zaledwie 17 mandatów – do tego 51 razy pouczyli właścicieli, a w 7 przypadkach sprawę skierowali do sądu. Wystarczy krótki spacer, aby przekonać się, że liczby te nijak się mają do skali problemu.

Podobnie zresztą wyglądają statystyki z innych miejsc Polski. W 2018 r. w Krakowie: 24 mandaty, 17 pouczeń, 6 wniosków do sądu; w Gdańsku: 10 mandatów, 19 pouczeń, 2 wnioski do sądu; w Poznaniu: 62 mandaty, 18 pouczeń, 1 wniosek do sądu; w Lublinie: 40 mandatów. We wszystkich tych miastach za niesprzątnięcie po psie grozi nawet 500-złotowa kara. Strażnicy miejscy tłumaczą, że sprawa nie jest tak prosta, jak mogłoby się wydawać, i to nie tylko kwestia nieodpowiedniej liczby patroli, ale przede wszystkim społecznej świadomości i presji. Twierdzą, że lepsze efekty daje zwrócenie uwagi



i „zawstydzenie właściciela” niż prośba o interwencję straży, ponieważ aby ta była skuteczna, trzeba złapać zwierzaka i jego właściciela, „na gorącym uczynku”. Do tego właściciele często udają, że to nie ich pies albo próbują uciekać. Z kolei filmowanie lub fotografowanie osób uchylających się od obowiązku sprzątnięcia i informowanie o tym Straży Miejskiej w praktyce wiąże się z koniecznością pozostawienia swoich danych jako świadka, bo jeśli właściciel czworonoga odmówi przyjęcia mandatu, sprawa trafia do sądu.

Gdańscy strażnicy zwracają uwagę, że wyprowadzający psy często mają przy sobie woreczek, ale sprzątaj tylko wtedy, kiedy w zasięgu ich wzroku znajduje się umundurowany patrol. A jeśli nie mają woreczka, a widzą strażników, robią wszystko, aby nie pozwolić psu się wypróżnić. – Zdarzył się też przypadek, że nieprzygotowana do sprzątnięcia odchodów właścicielka psa w obecności mundurowych zabrała nieczystości gołymi rękoma, bo dzięki temu strażnicy nie mieli podstaw do nałożenia mandatu – wspomina rzecznik SM w Gdańsku Wojciech Siółkowski.

Bo oczywiście ważna jest prewencja: akcje społecznościowe, edukacja w szkole (jak katowicka akcja „Zbierzmy się do kupy”), dostępność koszy, toreb i woreczków. Ale, jak się wydaje, nic tak skutecznie nie działa, jak realna groźba utraty 500 zł.

MLV

Wiadomości z Panamy

TVP podeszła do wyprawy na Światowe Dni Młodzieży z niebывалым rozmachem. Tak niebывалым, że dzisiaj nie chce o tym za wiele mówić.

Należy wskazać, że informacje o liczbie osób wysłanych do Panamy w celu relacjonowania Światowych Dni Młodzieży w dniach 22–27 stycznia oraz o łącznym koszcie pobytu w Panamie tych osób posiadają dla TVP SA na tyle istotną wartość gospodarczą, iż ich udostępnienie nastąpić nie może” – głosi uzasadnienie odmowy udzielenia informacji publicznej, które otrzymaliśmy z telewizji publicznej.

Szef Telewizyjnej Agencji Informacyjnej Jarosław Olechowski zapowiadał w rozmowie z Presserwisem, że TVP wyśle na Światowe Dni Młodzieży „kilkunastoosobową ekipę”. Znalazło się w niej miejsce dla prezenterki Danuty Holeckiej, która poprowadziła jedno z wydań „Wiadomości”

na panamskiej plaży. Opowiadała na niej z entuzjazmem m.in. o pawilonie polskim w Davos, brexicie oraz warszawskim spotkaniu Mateusza Morawieckiego z szefem Google.

W panamskiej ekipie był też w roli reportera Maciej Sawicki, który chwilę wcześniej zasłynął materiałem o mowie nienawiści tuż po zamachu na prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza. Sawicki cytował wyłącznie polityków opozycji, a reportaż był tak jednostronny, że krytykowali go nawet prawicowi publicyści.

Rozmach, z jakim TVP – przeżywająca poważne kłopoty finansowe – podeszła do panamskiej eskapady, skłonił nas do napisania wniosku o udostępnienie informacji

publicznej. Chcieliśmy się dowiedzieć, ile osób liczyła ekipa i ile to kosztowało.

Biuro Spraw Korporacyjnych odpowiedzi odmówiło, chwalać się zarazem, że „wyprodukowano ponad dziesięć audycji”. Ujawnienie informacji – jak z całą powagą zapewnia TVP – sprawiłoby, że „konkurent TVP mógłby łatwiej przygotować się do obsługi medialnej podobnego wydarzenia”.

– Moim zdaniem TVP nie wykazała precyzyjnie, w jakim stopniu udostępnienie tej informacji wpłynęłoby na konkurencyjność TVP. Jest w zasadzie wyłącznie zapewnianie, że tak się stanie, ale bez przytaczania odpowiednich dowodów. Wygląda na to, że tych dowodów po prostu nie ma i pod pozorem ochrony interesów gospodarczych TVP ukrywa informacje, które z jakiegoś powodu są dla telewizji niewygodne – ocenia dyrektor programowy Fundacji e-Państwo Krzysztof Izdebski, któremu pokazaliśmy pismo z telewizji publicznej.

21 lutego Sejm uchwalił ustawę, która zakłada przekazanie mediom publicznym 1,26 mld zł wsparcia z budżetu.

MC, WBS



Święty spokój i beatyfikacja

Opozycja nie musi drżeć ze strachu, a na wszystkie prezenty, jakie PiS rozdaje, powinna mieć dla wyborców jedną odpowiedź: „nie zabierzemy Wam niczego, co dał PiS, i oddamy wszystko, co zabrał”.

Po prezentacji tzw. piątki Kaczyńskiego wielu dziennikarzy ogłosiło pogrzeb opozycji. No bo przecież wszyscy emeryci, pracownicy do 26. roku życia, rodzice jednego dziecka, matki czworga dzieci i Bóg wie kto jeszcze na pewno zgłoszą na PiS. Zastanawiam się, skąd to pogardliwe przekonanie, że Polakom chodzi tylko o pieniądze? W wyborach w 2015 r. PiS uzyskał 37,5 proc. głosów i po trzech latach rozdawnictwa oraz zmasowanej propagandy nadal ma tyle samo albo i mniej, a opozycja demokratyczna zawsze miała i ma w sumie poparcie większe niż PiS. Opozycja nie musi więc drżeć ze strachu, a na wszystkie prezenty, jakie PiS rozdaje, powinna mieć dla wyborców zawsze jedną odpowiedź: „nie zabierzemy Wam niczego, co dał PiS, i oddamy wszystko, co zabrał”.

Więcej: jeśli PiS jeszcze w tym roku przegłosuje wszystkie te pomysły, które w 2020 r. mają kosztować 40 mld zł, opozycja powinna PiS podziękować! Uwolni ją to bowiem od sporów, czyje kosztowne propozycje realizować po wyborach: PO, PSL czy SLD lub Nowoczesnej – na żadne z nich nie będzie już w budżecie miejsca. Dlatego opozycja powinna bez wybrzydzenia zagłosować za „piątką PiS” i zabrać się wreszcie za opracowanie wspólnych propozycji programowych dotyczących tego, co „odda” – czyli: jak chce przywrócić demokrację i praworządność – a w tych kwestiach większych rozbieżności być nie powinno.

A teraz pytanie: co łączy pana Dariusza F. z Bełchatowa z ministrem Ziobrą i rzecznikiem praw dziecka Mikołajem Pawlakiem? Otóż nic nie łączy – a powinno. Dariusz F. stał się ofiarą brutalnego ataku nożownika. Leczenie jest bardzo kosztowne. Pan Dariusz mówi o tym tak: „Za wszystkie zajęcia musiałem płacić sam. Pieniądze pomogli mi zebrać znajomi i rodzina, sprzedałem samochód. NFZ nie finansuje rehabilitacji w takim zakresie. Nie ma w Polsce funduszu, który pomagałby w takich przypadkach”.

Przeczytałem i zdziwiłem się. Jak to nie ma, kiedy jest! I nawet adekwatnie się nazywa: Fundusz Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej. Ma on za zadanie „okazywać pomoc osobom pokrzywdzonym przestępstwem, zwłaszcza pomoc medyczną, rehabilitacyjną oraz materialną”. Fundusz ten działa przy Ministerstwie Sprawiedliwości, nadzoruje go minister sprawiedliwości, a zarządza dyrektor właściwego departamentu ministerstwa. Dyrektorem tym – do chwili wybrania go na rzecznika praw dziecka – był właśnie Mikołaj Pawlak. Niestety, z tego Funduszu pan Dariusz nie dostał ani grosza. On po prostu o nim nie wiedział i nie dowiedział się ani od lekarzy, ani od rehabilitantów, bo ci także o nim nie słyszeli. Kontrola NIK wykazała przy tym, że Fundusz dysponował kwotą ok. 400 mln zł! Na co więc szły te ogromne środki? Okazuje się, że na pomoc potrzebującym wydano zaledwie kilkanaście milionów złotych, natomiast 25 mln zł otrzymało CBA (!), a sprzęt za 100 mln zł – Ochotnicze Straże Pożarne (!!).

W trakcie prowadzonej w Senacie procedury zatwierdzenia pana Pawlaka na RPD poprosiłem go o wyjaśnienie, jaki ta szczodrość ma związek z celami Funduszu. Ciekawiło mnie to tym bardziej, że przed wyborami samorządowymi w internecie co rusz pojawiały się zdjęcia i filmy z uroczystego przekazania gminnym jednostkom OSP sprzętu

o wartości tysięcy złotych, przy czym jakoś tak się składało, że darczyńcami byli zawsze politycy PiS.

Ci, co twierdzą, że obrady Senatu są nudne, nie słyszeli chyba odpowiedzi Mikołaja Pawlaka na te pytania. Oświadczył on mianowicie, że jeśli chodzi o CBA, to nic nie powie, bo to była operacja tajna (czyżby działalność CBA „produkowała” aż tylu pokrzywdzonych?!), a co do strażaków, to jeżdżą oni nie tylko do pożarów, ale także pomagają ofiarom wypadków drogowych, a zgodnie z prawem każdy taki wypadek to... przestępstwo!

Mamy tu więc do czynienia z wyjątkowo bezczelnym wydawaniem publicznych pieniędzy – gromadzonych w celu udzielania pomocy ludziom znajdującym się w dramatycznej sytuacji życiowej – na cele czysto polityczne; z traktowaniem państwowego funduszu jak partyjnej skarbonki. Prokuratorzy Zbigniewa Ziobry oskarżyli znakomitego menedżera, byłego prezesa Lotosu Pawła Olechnowicza, o nieefektywne wydanie 240 tys. zł (!). Chcieli go za te 240 tys. zł aresztować, grożąc karą kilku lat więzienia. Ile w takim razie lat w więzieniu powinni spędzić pan Pawlak i nadzorujący go minister Ziobro za te 125 mln zł? Może niedługo się dowiemy.

Rozgadał nam się ostatnio pan premier Morawiecki. Śmiesz, Rumani, przestrasza. Śmiesz, gdy najwyraźniej, jak niewierny kochanek, porzuca już plany budowy miliona elektrycznych samochodów, flotylii promów pasażerskich, Luxtorpedy i tysięcy dronów, a w to miejsce wstawia przekop Mierzei Wiślanej, zachwalając tę inwestycję (oby nigdy nie powstała!) niemal jak budowę drugiej Gdyni. Tumani, gdy stwierdza, że dwukrotne podwyższenie kosztów uzyskania przychodu w podatku PIT, czyli 20 zł miesięcznie, będzie stanowiło „odczuwalnie więcej pieniędzy w portfelach”. A przestrasza wszystkich, bo rozusza nauczycieli i wręcz zachęca ich do strajku, podając kłamliwe dane o ich zarobkach. Oferuje im w ciągu trzech lat podwyżkę przeciętnie o 6 proc. rocznie, gdy w kraju wzrost płac przekracza 7 proc. – i twierdzi, że to dowód wielkiej sympatii dla nauczycieli. Polakom chce dać – jak mówi – „święty spokój i dostatnie życie”. Brzmi ładnie, ale w istocie chodzi o to, aby wszyscy krewni i znajomi pisowskiego królika mogli obsiąść tysiące stanowisk, spokojnie się obławiać i aby nikt się do tego nie wtrącał.

Trzy Beaty (Szydło, Kempa i Mazurek) wybierają się do Brukseli. Zamiar prezesa Kaczyńskiego, aby beatyfikować Unię Europejską, jest oczywiście godny najwyższego uznania, dręczy mnie jednak pewna wątpliwość. Przecież Mateusz Morawiecki jeszcze nie zakończył zapowiedzianego przez siebie procesu chrystianizacji pogańskiej Unii, a tu od razu beatyfikacja?! Ale co ja tam wiem. Jeśli prezes ma taką moc, żeby prokuratora Piotrowicza, odznaczonego za dobrą pracę w stanie wojennym, słynnego także z obrony księdza pedofila z Tylawy, uczynić jedną z twarzy pisowskiej „moralnej rewolucji”, to i poganina może beatyfikować. O ile oczywiście poganin misjonarza nie pogoni.

Kaczyński na konwencji PiS: „Trzeba bronić rodziny przed atakiem”. Zgadzam się. Ale najpierw trzeba obronić prezesa przed atakiem ze strony jego własnej rodziny.

Ośmiorniczki z musztardą



Musztarda z innym podatkiem VAT niż sos musztardowy, różne stawki na ciastka uzależnione od terminu ich ważności, banan gorzej traktowany od brzoskwini, a chipsy kukurydziane od ziemniaczanych. Przez lata producenci żywności apelowali o zmiany absurdalnych przepisów, aż w końcu rząd przyjął projekt wielkiej reformy stawek VAT. Największe zmiany dotyczą żywności, gdzie co prawda sporo produktów jest obciążonych VAT w wysokości

5 lub 8 proc., ale niektóre objęte są stawką podstawową, czyli aż 23 proc. Od przyszłego roku ma być prościej, czyli podatek dla podobnych produktów zostanie w wielu przypadkach zrównany. Czasem w dół, a czasem w górę, bo cała operacja ujednocnienia w grupach towarowych stawek VAT nie może spowodować spadku wpływów do budżetu. Pieniądze są przecież potrzebne na kolejne przedwyborcze prezenty.

Teraz nowe przepisy musi uchwalić parlament i nie będzie to formalność. Najostrzej lobbują producenci soków i napojów owocowych, którzy czują się szczególnie poszkodowani. O ile soki i nektary zachowają preferencyjną stawkę VAT (5 proc.), o tyle już bardziej rozrzedzone napoje owocowe zostaną objęte podatkiem w wysokości 23 proc. Do tej pory one również korzystały z niższej stawki, jeśli owoców było w nich przynajmniej 20 proc. Resort finansów chce, by było jak najmniej wyjątków od prostej reguły – napoje ulg w VAT nie mają.

Niezadowoleni są też producenci jabłek i gruszek, bo spada VAT na konkurencyjne według nich dla polskich owoców cytrusy z 8 do 5 proc. Z niektórych zmian rząd się zawczasu wycofał. Ministerstwo Finansów chciało na przykład podwyższyć VAT na leki weterynaryjne, ale ugięło się pod naporem protestów. Pozostało za to głuche na argumenty osób z nietolerancją laktozy – stawka na roślinne zamienniki mleka wzrosła z 5 do 23 proc. Dlaczego? Znowu rząd tłumaczy się upraszczaniem i maksymalnym ograniczaniem listy napojów z obniżoną stawką.



O ile upraszczanie VAT częściowo rzeczywiście może się powieść, o tyle już skutki dla zdrowia Polaków niekoniecznie będą korzystne. Podczas gdy Ministerstwo Zdrowia walczy z cukrzycą i otyłością (cierpi na nią już co czwarty z nas), Ministerstwo Finansów na takie sprawy uwagi w ogóle nie zwraca. Obniżoną stawką VAT objęte będą słone paluszki i wszystkie rodzaje chipsów. Z takiego samego przywileju skorzystają ciasta i ciastka, teraz już niezależnie od terminu ważności. W obu przypadkach uproszczenie wygrywa ze zdrowym rozsądkiem.

VAT na musztardę spadnie do 8 proc. i będzie taki sam jak na niekoniecznie najzdrowszy ketchup. Z drugiej strony najwyższa stawka VAT będzie nadal dotyczyć wody mineralnej, nawet tej niegazowanej, która jest traktowana tak samo jak popularne, ale ostro krytykowane przez dietetyków napoje z dużą ilością cukru. Do tego ostro w górę idzie VAT na owoce morza, w tym słynne ośmiorniczki. Co z tego, że zdrowe? Podrożeją, bo według resortu finansów nie są podstawowym produktem w naszej strefie klimatycznej i kręgu kulturowym.

REKLAMA

Albatros travel

Skandynawska jakość od 1986 r.



Anna Netrebko
(Trubadur)

4 dni od 3698zł

Opera w Weronie

Dwa wieczory z klasyką muzyki operowej spędzone w amfiteatrze w Weronie, połączone z wycieczkami do Bergamo, Borghetto i nad jezioro Garda.

Wyloty z Warszawy

27/06 2019 Traviata i Trubadur
11/07 2019 Aida i Carmen
15/08 2019 Tosca i Traviata

Program wycieczki: Dz. 1. Wylot z Warszawy do Mediolanu. Wizyta w Bergamo i czas wolny. Nocleg w okolicy Werony. Dz. 2. Weronazwiedzanie i czas wolny. Wizyta w winiarni (dodatkowo płatna) i wieczór z operą. Dz. 3. Średniowieczne miasto Borghetto, Jezioro Garda i wieczór z operą. Dz. 4. Powrót z Mediolanu do Warszawy.



Nowość

11 dni, 13498zł

Dookoła Bajkatu

szamani, Buriaci i syberyjska przyroda

Wylot Warszawa: 28/08 2019

Jezioro Bajkał to miejsce na styku różnych kultur i religii, ponieważ tutaj jak w tygłu wymieszali się potomkowie budowniczych kolei transsyberyjskiej i rdzennej ludności. Zobaczymy m.in. drewnianą zabudowę Irkucka zwanego często „Paryżem Syberii”, buddyjski klasztor w Ułan Ude, wioskę starobrzędowców czy grote szamana na wyspie Olchon. Koleją wybudowaną ponad 100 lat temu pojedziemy wzdłuż Bajkatu, aby podziwiać wspaniałą syberyjską przyrodę oraz popłyniemy w rejs po jeziorze.

Cena zawiera: bilety wstępów w cenie, opiekę polskiego pilota, przelot rejsowy z Warszawy, zakwaterowanie w pokojach 2-osobowych, wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

CK

KOMENTARZ

Macron marzy o Europie

Marek Ostrowski



Prezydent Francji Emmanuel Macron zwrócił się do wszystkich obywateli Unii z apelem o odrodzenie Europy. Apel jest pompatyczny w tonie, w dodatku – na stronie Pałacu Elizejskiego – opublikowany we wszystkich językach Unii, by każdy mógł go czytać bez pośrednictwa mediów. W odpowiedzi otrzymał przeważnie lekceważenie, zarzuty hipokryzji albo wręcz ucieczki od realiów. Chciałbym tu apelować, by Macrona poprzeć.

Niech najpierw Macron zrobi porządek u siebie, a potem urządza Europę – mówią przeciwnicy. Ale który inny z europejskich szefów państw i rządów apeluje publicznie o wielkie europejskie projekty? Przecież nie ma takich głosów ani z Włoch, ani z Hiszpanii, ani nawet od osłabionej pani Merkel. Na placu boju został praktycznie sam. Rzeczywiście Macron nie stroni od wspierania przede wszystkim francuskich interesów, ale główną treścią listu do Europejczyków są inne propozycje: wprowadzenie w życie klauzuli wzajemnej obrony, powołanie biura ochrony demokracji i wolności wyborów, wspólna policja graniczna, europejski bank dla ochrony klimatu, wzmocnienie wspólnej kontroli naszej żywności i ochrona przed cyberprzestępczością.

Za kilka tygodni wybory europejskie zdecydują o przyszłości naszego kontynentu. W żadnym kraju członkowskim nie udało się sprawić, by kampania wyborcza dotyczyła losu Unii. Przeciwnie, stawką tych wyborów są zwykle sprawy krajowe. W Polsce na przykład, według nowego pomysłu prezesa, wybory mogą się łatwo przekształcić w fałszywe starcie obrońców katolickiej rodziny przed rzekomym zepsuciem zachodnich modernistów. A przy tym z wielu krajów do Parlamentu Europejskiego wybiera się znaczna grupa – powiedzmy otwarcie – wrogów Unii, przeciwników jej umocnienia, ludzi, którzy nie rozumieją albo udają, że nie rozumieją, iż w świecie narastają problemy, których nie można rozwiązać w pojedynkę. Kto może twierdzić, że jest suwerenny, będąc sam, w obliczu cyfrowych gigantów? Jeszcze w 2017 r. Macron apelował, by w wyborach zacząć tworzyć listy transnarodowe, by skrzyknęli się w skali kontynentu ludzie, którzy dobrze życzą Unii. Źle, że nic z tego nie wyszło.

Brexit jest lekcją dla nas wszystkich – pisze Macron. Rzeczywiście, lekkomyślni politycy pokazali, jak łatwo rozbudzić narodową tromtadrację i zepchnąć cały kraj w straty i niepokój o przyszłość. Dalej, krytykują Macrona, że jego propozycje są za ambitne, nie-realne. Więc lepsze jest status quo?



© REUTERS/FORUM (3)

Japonia zmienia erę

Cesarz Akihito z rodziną, m.in. następcą tronu, księciem Naruhito (pierwszy za cesarzem).

Jaka era zapanuje w Japonii po 30 kwietnia, tego jeszcze nikt nie wie. A ma to również istotne znaczenie praktyczne, bo obok kalendarza gregoriańskiego (przyjętego w 1868 r.) stosowany jest tu kalendarz tradycyjny (*nengō*), odliczający lata według kolejnych cesarskich er. Zgodnie z nim mamy obecnie rok Heisei 31. *Nengō* używany jest w okolicznościach oficjalnych, ale też np. w nagłówkach gazet czy w korespondencji bankowej. Wspomnianego 30 kwietnia, wraz z abdykacją cesarza Akihito, pierwszą od dwóch stuleci, zakończy się po 30 latach era Heisei, co się tłumaczy jako: Pokój wszędzie. I nawiązuje do dwóch klasycznych dzieł chińskich poświęconych historii i filozofii. Akihito po śmierci, tak jak poprzednicy, nazywany będzie tak jak epoka, w której panował. Zostanie cesarzem Heisei. Jego ojciec, cesarz Hirohito, po śmierci w 1989 r. stał się cesarzem Shōwa, co oznacza Erę oświeconego pokoju, choć akurat sześć dekad jego panowania przypadło na jeden z najburzliwszych okresów w dziejach Japonii.

Nad nazwą nowej ery – ery cesarza Naruhito – od dawna pracuje specjalna komisja złożona z wybitnych lingwistów, specjalistów od starochińskiego, przedstawicielei rządu i Domu Cesarskiego. W dzisiejszych czasach nazwę ery wybiera nowemu cesarzowi rząd, a ogłosi ją wkrótce premier Shinzō Abe. Tradycyjnie będzie zestawieniem dwóch ideogramów nawiązującym do dziedzictwa chińskich cesarzy. Chyba że nastąpi rozbrat z tradycją. Pewną sugestią co do nazwy przysły cesarz zawarł niedawno w wystąpieniu z okazji swoich 59. urodzin, przekazując taką oto maksymę: „Akceptować różnorodność w duchu tolerancji”. Brzmi jak najbardziej współcześnie.

Dwa finały w Syrii



Z pozoru wygląda to na kolejne zakończenie niekończącej się wojny w Syrii. Ale tym razem może być inaczej. Gotowe do zamknięcia są dwa ostatnie kotły. Pierwszy, ogromny, to Idlib na północnym zachodzie kraju. Jedyna prowincja kontrolowana wciąż przez siły opozycyjne wobec reżimu Baszara Asada. Drugi kocioł to wioska Baghuz przy granicy z Irakiem – ostatnia enklawa pod panowaniem tzw. Państwa Islamskiego. W tym drugim przypadku do ostatecznej ofensywy ruszyli już wspierane przez Amerykanów Syryjskie Siły

Demokratyczne (SDF). Dżihadysty, kontrolujący u szczytu swojej potęgi 88 tys. km kw. (1/3 Polski), dziś cisną się dosłownie na kilkuset metrach. Amerykanie zapowiedzieli, że po upadku tej enklawy ogłoszą oficjalny koniec Państwa Islamskiego.

Z Idlibem sytuacja jest bardziej skomplikowana. Chodzi o prowincję, którą zamieszkuje dziś 2,5 mln osób (o 600 tys. więcej niż przed wojną) i do której spłynęły antyreżimowe niedobitki z całego kraju. We wrześniu, w obliczu szykowanej przez Asada ofensywy na Idlib, interweniowała Turcja, która obawia się, że doprowadziłoby to do katastrofy humanitarnej i masowej migracji na północ. Przed takim scenariuszem ostrzegają również organizacje humanitarne. Rosja zgodziła się wówczas powstrzymać Asada pod warunkiem, że Turcy usuną z Idlibu dżihadystów i stworzą wzdłuż jego granic strefę zdemilitaryzowaną. Turkom nie udało się ani jedno, ani drugie. I to właśnie soraz liczniejsi dżihadysty ostrzelują z Idlibu siły Asada. Tym razem zniecierpliwiony Władimir Putin może go już nie powstrzymać.

Nawet Trudeau ma kłopoty



Kanada żyje oskarżeniami o naciski polityczne i śledztwem w sprawie łapówek. Z rządu odeszły dwie panie minister, sprawiedliwości i skarbu, oraz główny sekretarz, doradca i przyjaciel premiera **Justina Trudeau**. Wszyscy polegli w skandalu związanym z firmą SNC-Lavalin, gigantem budowlanym z Quebecu, oskarżanym o korupcję związaną z interesami w Libii, gdzie za rządów Kadafiego firma miała wypłacić 35 mln dol. łapówek. W Kanadzie próbowała utrzymać

dostęp do przetargów publicznych – jego odebranie miało być karą za firmowe kręctwa. Podobno SNC-Lavalin naciskało na państwowych urzędników, a ci na prokuratorów i Jody Wilson-Raybould, która była w tym czasie ministrem sprawiedliwości i jednocześnie prokuratorem generalnym. Wilson-Raybould przesunięto na stanowisko ministra ds. weteranów, a nowy prokurator generalny był już łaskawszy dla SNC-Lavalin i ugoda z firmą stała się możliwa.

SNC-Lavalin na całym świecie zatrudnia ponad 50 tys. pracowników, w Kanadzie daje pracę prawie 9 tys. osób i jest ostoją Quebecu, w którym występuje nie tylko

jako główny pracodawca, ale i największy udziałowiec publicznych przedsięwzięć. Quebec z kolei jest ważny dla rządzących liberałów i dla samego Trudeau. Tracąc prowincję, która tradycyjnie na nich głosowała, w październikowych wyborach mogą też stracić władzę. Zdobywając cztery lata temu fotel premiera, Trudeau był faworytem całego świata. A umęczonym rządami konserwatyistów Kanadyjczykom jawił się jako objawienie. Syn byłego premiera, energiczny, przystojny, z czującym uśmiechem i pozytywnym programem reform. Wielu wyborców na świecie – także w Polsce – tęskniło za swoim Trudeau. Przez lata rządzenia młody premier jednak spowszedniał, jego nieustanny luz zaczął denerwować, wpadki polityczne przestawały śmieszyć, a teraz jeszcze wychodzi, że potknął się na klasycie rządzenia.



© GETTY (2)

Odtajniona przeszłość Piusa XII

Kościół nie boi się historii – zapewnił papież Franciszek i ogłosił, że od 2 marca 2020 r. badacze uzyskają pełny dostęp do zbioru dokumentów dotyczących pontyfikatu **Piusa XII** (panował w latach 1939–58, został wybrany 2 marca 1939 r.). Zadowolenie z decyzji papieża wyraziły Instytut Yad Vashem i Centrum Szymona Wiesenthala, a także izraelskie MSZ i wpływowi Komitet Żydów Amerykańskich (AJC). Bo pełny dostęp do archiwum Piusa XII może pomóc wyjaśnić kontrowersje wokół „milczenia” papieża Eugenio Pacellego podczas eksterminacji Żydów europejskich. Na oficjalnej stronie internetowej Archiwów podano, że wnioski o (bezpłatną) rezerwację dokumentów będą rozpatrywane od 1 października. Wnioskodawcy muszą mieć dyplom studiów uniwersyteckich (duchowni – licencjat lub tytuł doktorski) i podać uzasadnienie.

Watykańskie archiwalia dotyczące najnowszej historii są otwierane stopniowo. Pierwsze dokumenty udostępniono za Pawła VI. Jan Paweł II w 2004 r. pozwolił odtajnić dokumenty na temat jeńców, więźniów i zaginionych z lat II wojny światowej. Sergio Pagano, prefekt Tajnych Archiwów Watykańskich, zapowiedział, że z zasobów watykańskiego Sekretariatu Stanu (odpowiednik kancelarii premiera) udostępni się badaczom 151 tys. nowych pozycji, z których każda liczy dziesiątki stron, a także tak zwane papiery Piusa XII, obejmujące 76 zespołów dokumentów, w tym rękopisy jego przemówień z własnoręcznymi poprawkami. Dostępne mają być także dokumenty papieskich przedstawicieli dyplomatycznych. Dyrektor Centrum Wiesenthala Efraim Zuroff uważa, że archiwa pomogą odpowiedzieć na dwa kluczowe pytania: jakie informacje na temat Holokaustu dotarły podczas wojny do Watykanu i kiedy dotarły na biurko Piusa XII. Problem polega jednak na tym, że spór toczy się mniej wokół faktów, a bardziej na temat tego, czego Pius XII nie zrobił, choć powinien był zrobić.

Bezdzietne Chiny

Wzrost gospodarczy Chin w 2018 r. był najniższy od 1990 r., ale pojawiła się jeszcze smutniejsza wiadomość. Chiński Narodowy Urząd Statystyczny ogłosił, że w ub.r. przyrost naturalny był najniższy od 1961 r. (czyli epoki głodu, na skutek tragicznych w skutkach eksperymentów w rolnictwie). W 2018 r. przybyło 15,2 mln Chińczyków, o 12 proc. mniej niż rok wcześniej – a przecież po zniesionej w 2015 r. trwającej 40 lat „polityce jednego dziecka” i zezwoleniu na drugie dziecko w rodzinie miało ich szybko przybywać. Rzeczywiście, przybyło w 2016 r. o 8 proc., ale okazało się, że to jednorazowe nadrobienie zaległości przez starsze wiekiem pary. Bo rok później już trochę spadło (a głównie rodziły się drugie dzieci w rodzinie), zaś rok



temu spadło gwałtownie. Młodzi nie spieszą się z pierwszym dzieckiem: dłużej się uczą, jeszcze dłużej stają na nogi, bo wszystko horrendalnie zdrożało: mieszkania, edukacja, służba zdrowia. Społeczeństwo się starzeje: w okolicach 2027 r. zaczną Chińczyków ubywać, a czynnych zawodowo ubywa już od 2010 r., z wszystkimi tego konsekwencjami. „Dywidenda demograficzna”, wiele młodych i chętnych rąk do pracy przy taśmie, powoli odchodzi w niepamięć. Co z kolei będzie wymuszać szybszą zmianę modelu rozwoju z prostej taniej pracy na coraz bardziej przetrzoną, wspieraną nowymi technologiami. Po pożegnaniu z rowerami czeka nadchodzące pożegnanie z Chinami jako fabryką świata – i kolejna wielka metamorfoza.

BUNT NAUCZYCIELI

JOANNA CIEŚLA

Polskimi dziećmi w szkołach zajmują się ludzie zmęczeni, wystraszeni i rozczarowani. Ale w nauczycielkach i nauczycielach właśnie zaczął się budzić gniew.



ILUSTRACJA MARTA FREJ

N

ajgorzej jest, gdy trafi się choroba. Za zwolnienie płacą tylko 80 proc. dniówki, więc zwolnień lepiej unikać. Zwłaszcza że dezorganizują pracę w szkole. Ale już leki kupić trzeba. Halina, magister pedagogiki wczesnoszkolnej, 28 lat, trzy razy miała wszawicę, raz ospę, a od jesieni co miesiąc infekcje gardła. Pracuje jako wychowawczyni zerówki na podkrakowskiej wsi. Na leki pożyczła od chłopaka. Pożyczyła też na ortopedę, konsultacja: 150 zł. Dzieci w zerówce ważą już ponad 20 kg, ale wciąż trzeba je czasem ponosić. Halina nosi od 6.20, bo takie są potrzeby rodziców u niej na wsi. Za opiekę o świcie dostaje dodatkowe 8 zł. Ostatnio musiała wziąć kredyt na leczenie kanałowe zęba – 500 zł. Akurat zbiegło się to w czasie z wypłatą podwyżki, jednej z tych zachwalanej przez minister edukacji jako najwyższe od lat. Halina dostała 90 zł. Mówi, że to było jak policzek. Teraz na konto spływa jej co miesiąc 1,9 tys. zł.

„PANI” jest grzeczna

W zaplanowanym na początek kwietnia strajku może wziąć udział ponad 70 proc. szkół i przedszkoli. Jak informuje Związek Nauczycielstwa Polskiego, tyle weszło w tzw. spór zbiorowy – przebrnęło przez kolejne etapy rozbudowanych przedstrajkowych formalności. To największa mobilizacja we współczesnej historii ZNP. Do 25 marca pracownicy w każdej z szykujących się do protestu placówek muszą jeszcze w referendum potwierdzić gotowość udziału w strajku. Bezpośredni – i oficjalny – jego powód to niespełnienie przez rząd żądania tysiącłotowej podwyżki dla pracowników oświaty.

Protest ma trwać do odwołania. Ruszy 8 kwietnia. Dwa dni później powinny się zacząć egzaminy ostatniego rocznika gimnazjalistów. Tydzień później – pierwsze egzaminy ósmoklasistów.

To oznacza spiętrzenie egzaminów i jednocześnie większe szanse dla protestujących. Nauczyciele przyznają: musimy stanąć teraz, bo w takim grafiku nie sposób nas zlekceważyć.

Ale oprócz kalkulacji za decyzjami kryją się emocje, podsycane od trzech lat niemal każdym ruchem rządzących. Początkiem było ogłoszenie zmiany systemu oświaty – „wygaszenia” gimnazjów i wydłużenia podstawówek oraz szkół średnich, tuż po rozpoczęciu wakacji w 2016 r., by nie dopuścić do debat w pokojach nauczycielskich. Końcem – chełpliwe opowieści o przyznanych pracownikom oświaty jakoby historycznych podwyżkach, faktycznie sfinansowanych ze skasowanych dodatków do pensji i wydłużenia ścieżki zawodowego awansu.

W międzyczasie przez szkoły przewaliło się tornado *deformy*. Według danych ZNP z jej powodu na 500 tys. pracujących przy tablicy nauczycieli 6,5 tys. straciło zatrudnienie, drugie tyle przeszło na emerytury lub świadczenia kompensacyjne, a 18 tys. zostało zmuszonych do jeżdżenia między szkołami, aby nanizac godziny do etatu. Zniweczono dorobek gimnazjów, które przez lata działania rozwinęły się w szkoły z największymi sukcesami i zaangażowaną kadrą. Zmarnowano podliczane wciąż przez samorządowców pieniądze, które można było wydać na rzeczywisty rozwój szkół, pomoc psychologiczną czy wreszcie na szkolne pensje.

A na epilog szykuje się ewakuacja Anny Zalewskiej. Sprawczyni szkolnego zamieszania – minister edukacji – startuje w majowych wyborach do Parlamentu Europejskiego. Co prawda obiecywała, że doprowadzi swą reformę do końca, ale mało kto wierzył, że zechce trwać na swoim stanowisku do września. Wtedy to w drzwiach szkół średnich zderzy się pierwszy rocznik absolwentów ośmioletnich podstawówek i ci z klas ostatnich z wygaszanych gimnazjów, co oznacza nieunikniony chaos.

Nauczycieli po zmianie systemu oświaty sprowadzono do roli nadzorców egzekwujących opanowanie nawciskanych w nowe

podstawy programowe formułek, których we współczesnym świecie nikt nie potrzebuje. Straszono za nieprawomyślną obywatelską aktywność. Publicznie łajano i obrażano pseudodiagnozami jak ta premiera Mateusza Morawieckiego: „Nauczyciel ma troszeczkę więcej czasu wolnego w porównaniu do innych osób pracujących, ale nauczyciel chce więcej zarabiać”. Trudno się dziwić, że „panie” i „panowie” mają dość.

Ale przeświadczenie, że ze szkolnym porządkiem – i miejscem nauczyciela w nim – coś jest nie tak, w wielu tliło się już przed piśmowskim najazdem na oświatę. Tyle że nie wychodziło zbyt jawnie na powierzchnię, nie znajdowało wyrazu w wielkich protestach. Ot, skoro nauczyciele i nauczycielki – z definicji i w swojej masie – mówili dzieciom, że mają być grzeczne i się nie buntować, to i sami się nie buntowali.

„PANI” nie zna Londynu

Anna (36 lat, nauczycielka w klasach 1–3, szkoła podstawowa na nowym warszawskim osiedlu): – *Kiedy zorientowałam się, że coś jest nie tak? W trakcie drugiego roku pracy. Całymi dniami nie było mnie w domu – nadgodziny, rady pedagogiczne, zespoły wychowawcze, wciąż jakieś nieplanowane spotkania z rodzicami, góry testów do sprawdzenia. A utrzymywał mnie tata.* Anna skończyła pedagogikę terapeutyczną z wychowaniem przedszkolnym oraz nauczanie muzyki i dyrygowanie zespołami dziecięcymi na Akademii Pedagogiki Specjalnej w Warszawie, wczesne nauczanie języka angielskiego na Uniwersytecie Warszawskim, a także szkołę muzyczną w klasie skrzypiec i fortepianu.

Dziś mówi, że najgorzej jest po wakacjach i feriach: – *Uczniowie pytają mnie, gdzie byłam na nartach. A ja na nartach nie byłam nigdy w życiu, bo mnie nie stać. Uczniowie pytają mnie też, gdzie jest najładniej w Londynie. W Londynie również nie byłam, choć jestem anglistką. I wiem, że jeśli będę trwać w pracy na obecnych warunkach, moje dzieci także nigdzie nie pojadą. Już teraz córka donasza moje ubrania kupione jeszcze w czasach studiów.*

Mąż namówił Annę na kurs rachunkowości. Przekonuje: gdyby zmieniła pracę, całej rodzinie żyłoby się lepiej. Anna kilka lat temu zapisała się do ZNP. Na styczniowym spotkaniu związkowców z minister Zalewską Anna zaczęła szefową MEN. Pokazała jej swój pasek płac: „Pani minister, proszę zobaczyć: 2,2 tys. zł. Jak mam za to żyć?”. Telewizyjne kamery uchwyciły, jak Anna Zalewska niewzruszona – ze swoim słynnym wizerunkiem – przechodzi obok młodej nauczycielki.

„PANI” lubi dzieci

Wobec współczesnych warunków pracy w szkole najbardziej narzuca się pytanie, dlaczego ktoś się na nią decyduje? Ostatnio rzadko stoi za tym przypadek.

Dr Dominika Walczak z Instytutu Badań Edukacyjnych, kierownik Zespołu Badań i Analiz Edukacyjnych, zapewnia, że większość nauczycieli wybiera zawód z przekonaniem i uczciwymi intencjami. Lubią dzieci, lubią też przedmiot, którego uczą. Ale wielu z nich szybko odkrywa, że z uczelni wynieśli mniej, niż myśleli. Trudno im ustawić relacje z uczniami, złapać balans między zaufaniem a pobłażliwością. W ogóle nie czują się przygotowani do kontaktów z rodzicami uczniów ani do prowadzenia dokumentacji, nie znają prawa oświatowego.

Na nauczycielki często kształcą się dobre starsze siostry, harcerki, które zawsze opiekowały się dziećmi, czasem także synowie nauczycielskich rodzin. Wiedzą, że zarabia się słabo, ale w ich domach też nie było fortuny, myślą, że to nie najważniejsze. Jednak po pierwszych wypłatach dziwią się, że jest aż tak źle. Według oficjalnych komunikatów MEN średnie wynagrodzenie nauczyciela stażysty ma wynosić 3 tys. zł brutto, a dyplomowanego – na ostatnim szczeblu zawodowego awansu – 5,5 tys. zł. Ale w tych kwotach mieszczą się wszelkie możliwe dodatki do pensji uwzględnione ►

► w Karcie Nauczyciela – zawikłanej ustawie z lat 80., opisujące różnorakie środowiskowe przywileje. Podstawowa pensja początkującego nauczyciela stażysty z tytułem magistra po ostatniej podwyżce to 2,5 tys. zł brutto (1,8 tys. zł na rękę), a dyplomowanego, na ostatnim szczeblu zawodowego awansu: 3,5 tys. zł brutto (2,5 tys. zł netto). Według serwisu wynagrodzenia.pl prowadzonego przez firmę Sedlak and Sedlak, realne przeciętne zarobki, już z dodatkami, to 1,87 tys. zł na rękę (2,6 tys. zł brutto) dla stażysty i 2,9 tys. zł (4,1 tys. zł brutto) dla dyplomowanego.

W pierwszych 20 latach po transformacji różnorakie nauczycielskie studia pokończyło ponad milion ludzi. Dla uczelni prowadzenie takich kierunków było tanie, poziomem często się nie przejmowano. Ale też pogłębiający się niż demograficzny wysysał ze szkół uczniów, podczas gdy pozbyć się już zatrudnionego nauczyciela stało się prawie niemożliwością. Pracującym w szkołach przybywało lat. Według ostatnich badań IBE średnia wieku w zawodzie znacznie przekracza 40. Młodzi pedagodzy zatrudniali się w recepcjach jako ochroniarze, pedagożki odbierały telefony w centrach usług lub szlifowały paznokcie klientkom salonów manicure. Kto nawet zaczął się w podstawówce czy gimnazjum bez przekonania, po roku – dwóch kończył przygodę z nauczaniem. Ale zainteresowanych nauczycielskimi studiami też w końcu zaczęło ubywać. Według GUS już kilka lat temu kierunki pedagogiczne wypadły z czołówki najczęściej wybieranych przez studentów. Według Systemu Informacji Oświatowej wszystkich nauczycieli (nie tylko tych prowadzących lekcje, ale też opiekunów w bursach itd.) pod koniec 2017 r. było prawie 700 tys. Najmłodszy stażysta stanowili mniej niż 10 proc. z nich. Pustoszące szkoły to nie straszak na przyszłość, tylko scenariusz, którego pierwsze sceny już się kręcą – w gabinetach dyrektorów szkół średnich, u progu rekrutacji podwójnego rocznika uczniów desperacko szukających specjalistów: informatyków, anglistów, polonistów, nauczycieli zawodu.

„PAN” jest jak robot

Patrząc z perspektywy całego pokolenia dzisiejszych 20–30-latków, systemowa publiczna szkoła jako miejsce pracy nie ma w ofercie nic z tego, co jest dla nich ważne. Nie umożliwia samostanowienia, nie zostawia pola na elastyczność ani wygodę, nie mówiąc o swobodzie finansowej. To raczej przaśne miejsce, rządzące się niejasnymi, za to skostniałymi regułami. Wśród naszych rozmówców nie ma zwolenników zachowania owej Karty Nauczyciela, wypominanej im przy każdej okazji. Młodzi nauczyciele woleliby klarowne zasady – wyższe zarobki ustawione w przejrzysty system, powiązane ze średnią krajową – zamiast dodatków i ochrony przed zwolnieniami, z powodu której jeszcze niedawno w szkołach dla młodych nie było miejsca.

Mariusza, 30 lat, anglistę w zespole szkół średnich (technikum, liceum, szkoła branżowa) w mazowieckim miasteczku, szarpnęła niedawno, gdy wypełniał PIT. – *Przez rok zarobiłem tyle co ta słynna pani z NBP przez miesiąc* – podliczył. Żona Mariusza, też anglistka, na rękę ma 1,8 tys. zł. Właśnie wróciła do pracy po macierzyńskim, przez przerwę straciła uprawnienia do dodatków. Uczeń Mariusza niedawno zapytał: „Nie czuje się pan jak *non player character*”? – *To taka „niegrzywalna” postać w grach komputerowych. Żaden z uczestników się w nią nie wciela, jest automatycznie sterowana przez program* – tłumaczy Mariusz. Więc Mariusz palnął mówkę, że czuje się raczej jak aktor, który musi zrobić wszystko, aby przyciągnąć do lekcji, jak lekarz, który musi pilnować, czy komuś z uczniów coś nie dolega, jak psycholog, bo dzieciaki przychodzą nieraz z ciężkim bagażem emocji. Że bierze za uczniów pełną odpowiedzialność na lekcjach, a w trakcie wycieczek – na dni i noce. I jeszcze, że czuje się jak księgowy, wypisując stosy niepotrzebnych protokołów, ocen opisowych i raportów. Ale po kilku dniach Mariusz myśli, że może ten uczeń ma rację. W końcu wolny rozumny człowiek nie zgodziłby się na to wszystko za tak żenująco pieniądze.

Jesienią 2017 r. na fali strajku młodych lekarzy rezydentów na Facebooku zawiązała się grupa „Strajk młodych nauczycieli”. Na początku była euforia: tysiąc, dwa, sześć tysięcy członków i plany: spotkania w regionach! palenie opon! nowa ustawa! Impet zgwałt po miesiącu, strajku nie było. Młodzi nauczyciele to jednak nie lekarze. Lekarze pochodzą z zamożniejszych domów, są silniejsi, bardziej pewni siebie. Przez sześć lat studiów słyszą, że są elitą kraju. Nauczyciele, a głównie nauczycielki, słyszą, że mają być siłaczkami. Wiele z nich lata pracy spędza w strachu – przed wypuszczeniem dziecka do łazienki, przed spotkaniem z niezadowolonymi ojcami i matkami, przed wynikami egzaminów, przed otwarciem koperty z rachunkiem za prąd, czy wystarczy z pensji. Nauczyciel czy nauczycielka przejmują emocje coraz bardziej rozchybotanych dzieci i na ogół nie mają gdzie ani kiedy ich odreagować. W końcu przestają sobie radzić. Napięcie i frustracja przechodzą w tłumioną agresję i złość – na siebie, na uczniów, na kolegów. A to utrudnia mobilizację i solidarną walkę o zawodowy interes.

Minister Anna Zalewska (z towarzyszeniem całego rządu) dokonała jednak niemożliwego: poprzez kolejne decyzje ściągnęła na siebie i skupiła tę ukrytą, rozproszoną przez lata środowiskową złość. Rozwścieczyła nawet szeregowych członków wspierającej PiS oświatowej Solidarności, którzy wbrew władzom związku właśnie wywieszają swoje flagi obok protestacyjnych ZNP.

Tamta strajkowa nauczycielska grupa na Facebooku zdążyła zmienić nazwę na „Ja, nauczyciel”, ale przetrwała. Marcin Korczyc, nauczyciel z Wielkopolski, dziś administrujący społecznością, zauważył, że jesienią znów zaczęło się gotować – po protestach policjantów, którzy masowo biorąc zwolnienia lekarskie, wywalczyli tysiącłotowe podwyżki. Ten policyjny tysiąc to mniej więcej tyle, ile nauczycielom brakuje do średniej krajowej. Na „Ja, nauczycielu” zaczęto publikować slajdy „Idziemy chorować!”. W szczytowym okresie na zwolnienia poszło ok. 4 tys. ludzi. „Medycy załatwili podwyżki, policjanci załatwili, inni też, a my tylko ciągle gadamy” – pisano. „Założmy nowy związek zawodowy, te, które są, nic dla nas nie zrobiły!”.

Z początkiem stycznia prezes ZNP Sławomir Broniarz zapowiedział przygotowania do strajku. W ostatnich tygodniach w sieci powstał jeszcze „Protest z wykrzyknikiem”, zachęcający do wspierania protestu nauczycieli znacznym wykrzyknikiem na pomarańczowym tle, współpracują inne społeczności. I przenoszą się do realnego życia. Spotykają się w Warszawie, w Poznaniu, a wkrótce także w innych regionach. Przyjeżdżają nauczyciele, działacze, naukowcy. Chcą rozmawiać o nowej szkole, odchodzącej od pruskiego systemu wychowania, o programie, zarobki nauczycieli to tylko początek. Próba zduszenia oświaty mogłaby więc paradoksalnie poskutkować ożywczym odbiciem. Pytanie, czy się uda, zanim młodzi nauczyciele uciekną ze szkół.

„PANI” się dziwi

Ewa, 32 lata, nauczyciel wspomagający w warszawskiej podstawówce, kiedyś myślała, że wypalenie zawodowe grozi jej w perspektywie kilkunastu lat. Dziś boi się, że może przyjść wcześniej. Że znienlubi dzieci, da się przygnieść w roli ofiary – systemu, dyrektora, roszczeniowych rodziców.

Ewa wynajmuje mieszkanie z koleżanką, 36 m, koszt 3 tys. zł. W szkole zarabia 2,4 tys. zł. Dorabia popołudniami jako opiekunka osób starszych. Gdy kupi jedzenie w dyskoncie, zostaje jeszcze na treningi sztuk walki. Bo, mówi, musi odreagować. W szkole opiekuje się dziećmi z zespołem Aspergera, afazją i autyzmem. Na własne mieszkanie nie ma szans, chyba że znajdzie męża. Używała dwa tytuły magistra: rehabilitacji społecznej i zawodowej osób niepełnosprawnych oraz pedagogiki przedszkolnej.

Jeśli strajk nic nie da, Ewa zapisze się na kurs motorniczego tramwajów.

JOANNA CIEŚLA